

Ambroise Jobert: De Luther à Mohyla. La Pologne dans la crise de la chrétienté 1517—1648. Paris 1974, 484 s. 7 tabl. Collection Historique de l'Institut d'Etudes Slaves XXI

Leży przede mną gruby tom, wydany starannie, jak to umieją czynić dobre wydawnictwa. Z oliwkowej okładki spogląda poorana bliznami twarz. Powieki są opuszczone, kątki warg obwisły w pełni goryczy i bezsily ponad zwichrzoną brodą. Na czubku głowy coś jakby korona, jakby pióra. Setki lat wiatrów i deszczów zostawiły ślady zniszczeń. To Chrystus Bolesciwy z kapliczki w Anielowie koło Garwolina, rzeźba ludowa z połowy XVII w. Tę właśnie rzeźbę obrano za symbol katolicyzmu potrydenckiego w Polsce. Może to i słusznie. Nie Chrystus triumfujący, ale Bolesciwy przemawiał do ludu, który modlił się słowami Gorzkich Żalów i pielgrzymował do Kalwarii.

Ambroise Jobert profesor uniwersytetu w Grenoble, obecnie honorowy, trudził się przez 20 lat nad tą książką o „Polsce w czasie kryzysu chrześcijaństwa”, jak nazwał on okres reformacji i kontrreformacji, reformy katolickiej i jej ugruntowania. Autor zna język polski, przebywał w Polsce przed wojną jako profesor Instytutu Francuskiego w Warszawie, po wojnie wiele razy przyjeżdżał do naszego kraju i spędzał tygodnie na pracy w bibliotekach, zwiedzał miasta i zabytki, objechał Rzeszowskie i Warmię, Pomorze i Krakowskie. Jak mało kto na Zachodzie zwiedził Polskę i patrząc oczyma przyjaciela, dostrzegał to, czego my, przyzwyczajeni, nie umieliśmy dostrzec. W pracy swej sięgnął do źródeł. Odczytał raz jeszcze to wszystko, co dla tego okresu wydrukowano, a o czym zapomnieliśmy od lat. Gdy czytam tę książkę, przeżywam to, co przeżywali nasi poprzednicy i przodkowie, gdy zetknęli się po raz pierwszy z jędrną, bogatą polszczyzną XVI w., i z bujnym, gwałtownym życiem, które się w niej odzwierciedlało. Tę anegdotę, szczegóły, wypowiedź, która w jednym skrócie daje wgląd w samo serce rzeczywistości, przykryła później skamieniała lawa mądrych rozważań pozytywistów. My już nie sięgamy do owych źródeł, czytamy to, co z nich wydobyli i przetrawili, a nam w skrócie do wierzenia podali Szujski, Bobrzyński, Wincenty Zakrzewski i inni. Już nie słyszymy słów Zygmunta Augusta czy replik Hozjusza, ani dyplomatycznych chwytów Uchańskiego: są za to uczone wywody i suche wnioski, które jak biały popiół pokryły rzeczywistość. Dlatego profesor Jobert, który na nowo odczytał nieuprzedzonym okiem te wszystkie źródła — znane i dlatego zapomniane — dał nam obraz tak mowy i tak świeży. Czy ten odwrót od pozytywizmu jest celowy? Chyba tak.

Ambroise Jobert zna problematykę gospodarczą i społeczną, szanuje liczbę, choć nie całkiem bałwochwalczo. Ale to, co go interesuje — to człowiek, jego myśl, jego przeżycia. To jest istotne. Dlatego w człowieku symbolizuje prądy dziejowe i postawy. Pod jego piórem suche procesy dziejowe zamieniają się w żywych ludzi. To nie jest „kult bohaterów” — tych tu bodaj nie ma. To tylko dostrzeżenie w człowieku tego, co w nim odbija prądy dziejowe. Toteż najbardziej pasjonujące strony książki dotyczą konfliktów ludzi odmiennych a bliskich sobie: Hozjusza i Frycza Modrzewskiego, Hozjusza i Uchańskiego. Odosobnieni stoją kapucyn o. Magni i „szlachcic polski” z rodu gospodarów mołdawskich, Piotr Mohyla, metropolita prawosławny w Kijowie.

Po przedmowie, w której autor relacjonuje swe badania, następuje rozdział I: „Źródła tolerancji polskiej”. Autor przedstawia szeroko — dla cudzoziemców — czym była Polska złączona z Litwą w XVI i XVII w., jak wyglądała ludność pod względem języka i religii, i jak jedynym wyjściem z tej różnorodności była tolerancja.

Część pierwsza książki traktuje o rozwoju protestantyzmu.

Rozdział II przedstawia początki reformacji, stanowisko Zygmunta Starego i dworu wobec Erazma z Rotterdamu, potem rozpad grona zwolenników Erazma, z których część opowiedziała się za katolicyzmem, a część za reformacją.

Rozdział III: „Dialog czy nieustępliwość. Modrzewski i Hozjusz”, fascynuje nowością ujęć. Na tle rządów Zygmunta Augusta, stanowiska dworu wobec soboru trydenckiego, rysują się postępy protestantyzmu w l. 1546—1552. Autor przeciwstawia tu Modrzewskiego i Hozjusza. Obaj urodzeni byli w 1504 r., obaj studiowali na uniwersytecie krakowskim, obaj należeli do kręgów zwolenników Erazma, obaj pracowali w kancelarii królewskiej. Frycz Modrzewski należał do klienteli Łaskich i podróżował wiele po Niemczech, gdzie spotkał Melanchtona, po Szwajcarii i Francji, gdzie poznał dobrze **niepokój religijny** Zachodu. Pozostał katolikiem z przekonania, ale chciał zgody z protestantami, choćby kosztem ustępstw doktrynalnych. Hozjusz należał do klienteli biskupa Tomickiego, studiował w Padwie — i stał się nieustępliwym bojownikiem o czystość i niezmienność nauki Kościoła. Ambroise Jobert patrzy na nich ze stanowiska ekumenizmu, analizując zaś poglądy ich na społeczeństwo i państwo, na Kościół, na herezję i tolerancję właśnie punkt widzenia ekumenizmu wysuwa na czoło. A jednak wydaje się, że bez drażniącej i nawet brutalnej w słowach nietolerancji Hozjusza katolicy, z biskupami na czele nie stawiliby tak zdecydowanego oporu gwałtownym atakom zwolenników „nowinek”. Zaslugi Hozjusza dla utrzymania i utrwalenia katolicyzmu w Polsce są bez wątpienia bardzo duże. Bez tej nieustępliwości nie byłoby też pola do kompromisu, bo nie byłoby z czego ustępować. Hozjusz mówił rzeczy „niemożliwe” z takim urokiem, że się na niego nie obrażano. Starego księcia Albrechta Hohenzollerna namawiał do po-

wrotu do Kościoła, a przecie to był dawny mistrz zakonu krzyżackiego, który wprowadził w Prusach protestantyzm. Albrecht odparł mu nie bez złośliwości: „Zdaje się, że mnie chcesz uczynić papistą”. Na to Hozjusz mu tłumaczył, że kto nie jest papistą, jest satanistą. Ale było to tak powiedziane, że Albrecht się nie obraził. Dziś poglądy Hozjusza wydają się tak odległe i przebrzmiałe, gdy skłócone ongiś wyznania szukają zbliżenia i zgody. Ale wtedy? Hozjusz nie chciał dialogu, a Modrzewski powoli przesunął się na pozycje protestanckie, choć z Kościołem nie zrywał. Trwał przy swej pojednawczej postawie, chroniony przez króla, przez prymasa Uchańskiego i niektórych biskupów. Umarł bez spowiedzi, choć spowiednika żądał. Ale proboszcz opuścił parafię, gdyż panowała zaraza i nie było księdza, który by przyszedł do umierającego.

Hozjusz bronił hierarchicznego charakteru władzy w Kościele i sakramentów, bronił nauki o Eucharystii. „Nigdy nie będziemy się wstydzili Kościoła Bożego, nigdy się odeń nie oddzielimy, jak wyście to uczynili” pisał do protestanta Brenza. Hozjusz był mniej ceniony i mniej czytany w Polsce od Modrzewskiego. Hozjusz głosił, że skoro morderca, który zabija ciało, zasługuje na śmierć, to herezyk, zabijający duszę, zasługuje na nią znacznie bardziej. Słuchano go, ale wszyscy woleli tolerancję od wojny domowej. Z Kościołem potrydenckim zwyciężyła teoria, której bronił Hozjusz, ale w praktyce trzymano się dialogu, który zalecał Frycz Modrzewski. Myśl tego ostatniego głęboko oddziaływała na wszystkie prądy ireniczne, czyli zmierzające do pogodzenia wyznań, które nurtowały na Zachodzie. Paradoxem jest, że katolicy uważali go za herezyka, a protestanci za katolika. Nie były to czasy, w których człowiek tej miary mógł znaleźć pełny posłuch i zrozumienie. To były czasy walki słownej i orężnej, czasy krwi i stosów, czasy nietolerancji.

Rozdział IV poświęcił autor Janowi Łaskiemu i rozwojowi reformacji w Polsce aż do jego śmierci, rozdział V — braciom polskim czyli arianom, w oparciu o literaturę przedmiotu, rozdział VI mówi o zgodzie sandomierskiej (1570) i o terytorialnym zasięgu poszczególnych wyznań.

Rozdział VII poświęcony jest „Reżimowi tolerancji” i Jakubowi Uchańskiemu. Tego ostatniego uznano za krypto-protestanta, który po soborze trydenckim chciał okupić gorliwością dawniejsze swe odchylenia. Prymas Uchański nie cieszy się dobrą opinią historyków Kościoła w Polsce, w przeciwieństwie do Hozjusza. A jednak w najtrudniejszych chwilach, gdy Uchański jako biskup chełmski oskarżony został o herezję i postawiony przed sąd inkwizycji w Rzymie, właśnie Hozjusz dał mu żarliwe świadectwo prawowierności. Uchański był świetnym mówcą i zępczym politykiem, pilnym uczestnikiem prac senatu, po królewsku jawnym wobec szlachty. Hozjusz zapewniał go, że będzie bardziej pożyteczny w kraju niż na soborze trydenckim. Uchański był zwolennikiem ugody z protestantami bez ustępstw w zakresie doktryny, ale z koncesjami w zakresie prawa kościelnego. Chciał udzia-

tu protestantów polskich w synodzie, aby część z nich przynajmniej pociągnąć do pojednania z Rzymem. Podejrzewali go tedy nieprzejednani, że chce utworzyć Kościół narodowy. Wielu historyków przyjmowało te podejrzenia za dobrą monetę. Hozjusz wraz z nuncjuszem Commendone udaremnił zwołanie synodu.

Hozjusz i Uchański starli się jeszcze w sprawie arian. W Rzeszy nie objęła ich tolerancja, zagwarantowana przez pokój religijny z 1555 r. Uchański chciał skorzystać z wrogiego do nich stosunku innych wyznań protestanckich i wygnać ich — Hozjusz bronił ich w imię zasady, że wszelka herezja jest zła i nie należy karać niektórych herezyków, skoro nie karze się wszystkich innych. Ostatecznie król skazał na wygnanie tylko arian obcokrajowców, nakazał plebejuszom trwać przy wierze katolickiej, ale szlachta cieszyć się miała pełną swobodą wyznania (1 XI 1564). Choć Hozjusz chciał właściwie wytepienia mieczem herezyków, Uchański nie chciał wojny domowej. Zdaniem prof. Joberta Uchański przewidywał, że faktyczna tolerancja przyniesie w końcu powrót szlachty do Kościoła. Dlatego zgodził się uznać de facto konfederację warszawską mimo nacisków przedstawiciela nuncjusza: ograniczył się do czysto formalnego protestu. Rzym jak i przebywający u boku papieża Hozjusz byli mniej dalekowzroczni od prymasa, który odrzucał tolerancję dogmatyczną, ale chciał stworzyć warunki dialogu przez tolerancję de facto.

Na tym się kończy część pierwsza książki. Część druga: „Odnowa katolicyzmu” obejmuje lata 1572—1648, a więc rozdziały VIII do XV.

Rozdział VIII traktuje o tolerancji polskiej, o której tak doskonale pisał prof. Janusz Tazbir. Katolicy polscy odrzucali nauki protestantyzmu, ale mieli poczucie łączności przyrodzonej z ludźmi, którzy je wyznawali. Nader ciekawe są dane, które wskazują na opór chłopów przeciw reformacji. Autor idzie tu za poglądami Urbana. W oparciu o prace prof. Dworzaczka, prof. Jobert ustalił, że wzrost liczby katolików w senacie po soborze trydenckim nie był skutkiem pomijania protestantów przy rozdawaniu wakansów przez Zygmunta III, ale spowodowany był przechodzeniem senatorów protestantów na katolicyzm. Udowodnia to liczby (s. 209—210). Rozdział IX mówi o arianach, rozdział X o apostołacie jezuitów. Przejrzyste mapki ułatwiają poznanie sieci szkół protestanckich i jezuitów, a biografie pierwszych jezuitów polskich pozwalają poznać ducha Towarzystwa.

Rozdział XI zatytułowany jest: „Skandal poddaństwa”. Przedstawia on obraz ucisku chłopów i przytacza w przekładzie dialog o. Śmigleckiego TJ o poddaństwie, dołączony do wydania traktatu *O lichwie* z 1607 r. Dialog ten przedstawia poglądy szlachty i poddaje jej ostrej krytyce. Następnie prof. Jobert mówi o programie ochrony chłopów przez władzę królewską, forsowanym przez jezuitów i jego załamaniu się po rokosz Zembrzydowskiego. Szlachta opanowywała stanowiska kierownicze w zakonie: po wyłączeniu cudzoziemców w 1606 r. na stanowiskach przełożonych u jezuitów było 5 ze szlachty i 12 mieszczan, w ro-

ku 1648 na 49 domów jest wśród przełożonych 41 ze szlachty i 8 mieszczan. Kościół nie potrafił przeciwstawić się dążeniom szlachty. Wstrząsające są te damy pobożne, które czynią hojne nadania dla klasztorów a równocześnie podwyższają pańszczyzną chłopom. Zdaniem prof. Joberta reforma potydencka w Polsce nie sięgnęła dość głęboko, by „zreformować społeczeństwo o niecnym ustroju”, ale jednak stworzyła elitę, walczącą o sprawiedliwość.

Rozdział XII traktuje o ascetach i mistykach. Autor przytacza mało znaną w Polsce pracę o. Iparaguirre TJ o życiu duchowym o. Łęczyckiego i wyjątki z pism i poematów mistycznych o. Druźbickiego. Te ostatnie nie doczekały się dotąd przekładu polskiego. Omówieni są też karmelici i karmelitanki oraz benedyktynki reformy chełmińskiej.

Rozdział XIII poświęcony jest unii brzeskiej. Co wnosi on nowego? Nowe badania w oparciu o nieznane dotąd źródła rzymskie wskazują, że inicjatywa unii zaskoczyła kurię rzymską, która niepewnie i chwiejnie, po wahaniach przyjęła inicjatywę biskupów ruskich. Ci ostatni, urażeni na patriarchę carogrodzkiego i widząc masowe odstępstwo szlachty ruskiej do protestantyzmu, szukali oparcia w Rzymie. „Unia brzeska nie była ani dziełem polityki polskiej, ani rzymskiej. Biskupi ruscy, rozdrażnieni przez reformy patriarchy Jeremiasza II prosili o nią. Dwór polski nie bez wahań zdecydował się przyjąć ryzyko, a Rzym „przyjął” Rusinów nie podejmując wobec nich żadnych określonych zobowiązań (s. 343).

Rozdział XIV przedstawia rolę metropolity unickiego Welamina Rutskiego oraz metropolity prawosławnego Piotra Mohyły. Ten ostatni występuje plastycznie na tle wydarzeń: żołnierz pod Chocimem, student — może w Paryżu i Holandii — zwolennik reform i zbliżenia z Rzymem, który spowiadał się stale i u duchownych prawosławnych i u katolickich. Był on „doktorem” Cerkwi prawosławnej, którego pisma teologiczne przedrukowywano w Moskwie i Carogrodzie.

Rozdział XV przynosi punkt kulminacyjny książki — działalność eku-meniczną o. Waleriana Magni, kapucyna, który był inspiratorem Colloquium Charitativum w Toruniu w 1646 r. On też przedłożył w Rzymie memoriał „szlachcica polskiego” w sprawie nowej unii Cerkwi prawosławnej z Rzymem. Dotychczas przyjmowano, że autorem memoriału był Adam Kisiel, ale nowsze badania wykazały że był nim Piotr Mohyła. Gotów był on uznać władzę papieża, ale przy zachowaniu liturgii i pełnej autokefalii, aż do wyzwolenia patriarchy i narodu greckiego spod panowania Turków. Głównym promotorem tego projektu był o. Magni, którego sucha, ascetyczna postać wyłania się z partretu, odnalezionego przez autora po wielu poszukiwaniach.

Zakończenie książki podkreśla ogromną rolę, jaką odegrali Polacy w życiu religijnym Europy zarówno protestanckiej, jak katolickiej i prawosławnej w okresie kryzysu w XVI i pierwszej połowie XVII w. Na końcu jest 5 dodatków, które obejmują tablicę synchroniczną papieży, królów polskich, patriarchów carogrodzkich, nuncjuszów i pryma-

sów Polski oraz metropolitów Cerkwi z l. 1517—1648, genealogię królów polskich oraz rodzin Łaskich, Leszczyńskich i Radziwiłłów z zaznaczeniem katolików i protestantów.

Bibliografia rozmowna przytoczona jest przy poszczególnych rozdziałach. Obok tego jest repertorium źródeł i cytowanych opracowań. Zdaje się, że autor nie pominął prac istotnych. Odchodzimy dziś od „bibliografii pełnych”, które obejmują na równi dzieła podstawowe jak i bezwartościowe ramoty. Ta bibliografia, którą znajdujemy na łamach omawianej książki, jest przeznaczona dla cudzoziemca. Przy jej pomocy, jeśli zna język polski, będzie mógł dotrzeć do wszystkich przyczynków. Praca zawiera indeksy osób, miejscowości i „ludów” oraz krótki indeks rzeczowy dotyczący głównie zagadnień teologicznych i kościelno-prawnych.

Ilustracje są nieliczne, ale doskonale dobrane: na czoło wysuwa się portret o. Magni i medal rozpoznawczy braci polskich (zbiory Przypkowskich). Świetny jest Hozjusz z portretu z Ornety, są: Družbicki, Skarga, Rutski, M. Mortęska. Obok siebie umieszczono kościoły drewniane w Haczowie i cerkiew w Powroźniku. Mapek i planów jest 10, w tym mapa organizacji kościelnej, cztery mapy obrazujące rozwój szkolnictwa i plan Wilna z 1596 r. z zaznaczeniem świątyń różnych wyznań.

Książka prof. Joberta jest odkrywczą i zaskakującą. Jest spojrzeniem ekumenisty na przeszłość Kościoła w Polsce, przeszłość bogatą w porównaniu do krajów sąsiednich. Czy ujrzymy ją w przekładzie polskim, który podrażni nasze zastarzałe poglądy i nasze przyzwyczajenia?

Ambroise Jobert napisał przed wojną książkę o Polsce — o Komisji Edukacji Narodowej. Spożytkował w niej źródła, które dziś nie istnieją. Ukończył ją przed samą wojną. Była ona w druku w chwili katastrofy Francji w 1940 r. Drukarnia była w mieście, które znalazło się w strefie okupowanej. Książkę wydrukowano potajemnie. Egzemplarze potrzebne do przewodu doktorskiego przeszmyglano przez granicę w koszu z bielizną. Doktorat odbył się w tajemnicy we Francji nie okupowanej. Tymczasem w Polsce spłonęły archiwa, i teksty przytoczone w książce nabrały wartości źródeł. Z książki prof. Joberta korzystali latami badacze starsi i młodszy, czerpiąc z niej materiały pełną garścią. Dopiero teraz ma się ona ukazać w polskim przekładzie. Czy taki sam los zgotujemy tej drugiej fundamentalnej pracy, która przed czytelnikiem roztacza wspaniały obraz złotego wieku kultury polskiej, a na jej tle — dziejów Kościoła w kraju, gdzie nie było wojen religijnych ani stosów. Nie każdemu jest dane pisać książki o myśli tak klarownej, o sądach tak samodzielnych, niezawisłych i nowych, owianych ciepłem sympatii dla kraju, o którym autor pisze. I to stanowi urok tej książki.

Karol Górski

JESZCZE RAZ O OBOZIE ŚMIERCI

„Każdy człowiek, który zginął za Ojczyznę wart jest wspomnienia, choćby najmniejszego. Dał on przecież to, co miał najcenniejszego — życie”. „Nie ma on nawet grobu, został spalony, na mnie jednak ciąży obowiązek utrwalenia jego pamięci, bo coś mogą więcej ponad te słowa”. „W Martyrologium, które trzeba ułożyć, by było cytane w Polsce, nie powinno brakować żadnej postaci. Jego postawa to bogactwo nie tylko dla narodu, ale i dla Kościoła ... śmierć bowiem za Ojczyznę jest bohaterstwem”. (*Oczekiwanie*, s. 171, 178, 131).

Chyba już 15 większych lub mniejszych wypowiedzi poświęcono wydanej nakładem „Znaku” książce księdza Jerzego Langmana, pt. *Oczekiwanie — Buchenwald* (Kraków 1973). Sam fakt, że wspomniana książka po dwóch tygodniach znikła z półek księgarskich, jak również tylokrotne, jak najbardziej pozytywne wypowiedzi na jej temat ludzi różnych specjalności o znanym autorytecie (kard. S. Wyszyński, bp W. Urban, ks. Bednarski, J. Braun, K. Bunsch, J. Dużyk, W. Wnuk, ks. Sapiński, A. Wernic, K. Bukowski), świadczą nie tylko o dużym zapotrzebowaniu naszego społeczeństwa na tego rodzaju literaturę, ale i o wartości samej książki.

Wypowiadający się recenzenci podkreślali różne jej zalety. Nie miejsce tu jednak, by je powtarzać i przypominać. Wydaje mi się jednak, że chyba zbyt mało uwypuklono jeszcze jeden jej walor, a mianowicie jej wartość jako źródła historycznego. W ostatnich dziesiątkach lat coraz więcej bowiem docenia się znaczenie źródeł pamiętnikarskich, interpretowanych oczywiście według odpowiednich kryteriów historycznych. Wymienioną książkę trzeba właśnie zaliczyć do pamiętników.

Jej autor, doktor historii sztuki i archeologii chrześcijańskiej, przed wojną kierownik programów radiostacji katowickiej, w latach 1941—45 więzień Buchenwaldu, po wojnie kapłan i profesor archeologii przy Papieskim Uniwersytecie Angelicum w Rzymie, znany doskonale polskiemu środowisku Wiecznego Miasta jako organizator „spacerów archeologicznych po pomnikach starożytnych”, mimo iż jego nazwisko w roku 1947 podczas wystawy urządzonej przez Muzeum Narodowe w Warszawie umieszczono na prowizorycznym pamniku ku czci pomordowanych historyków sztuki, archeologów i konserwatorów wśród zmarłych, potrafił jeszcze dać polskiemu czytelnikowi swoistego rodzaju pamiętnik. Brak w nim chronologii, pozornie robi wrażenie chaotycznie zebranych opowiadań i wspomnień, wyrażonych językiem gawędziarskim, okraszonych od czasu do czasu mocniejszym, męskim, obozowym słowem. Uderza nas przy tym bardzo życzliwy i humanitarny stosunek autora do cierpiącego człowieka, umiejętność wnikięcia w jego duszę, zrozumienie dla jego słabości i upadków. Trzeba nadto podkreślić, że autor jest dobrym obserwatorem, potrafi uchwycić i wyrazić na piśmie nie tylko stany psychiczne i przeżycia swoje, ale i cudze, Wszystko to w sumie, mimo tematyki o obozowym piekle,

stwarza jakąś bezpośrednią atmosferę, technie pogodą, wiąże czytelnika i zachęca do czytania.

Autor w swych opowiadaniach zajmuje się nie tylko swoją osobą, jak to czyni większość autorów wspomnień obozowych, ale przede wszystkim więcej lub mniej już zapomnianymi współwięźniami. I wydaje mi się, że tu leży zasadnicza wartość książki ks. Langmana — utrwalenie przez autora, jako naocznego świadka, ostatnich przeżyć, słów, gestów, wewnętrznych zmagani, patriotycznej postawy i odporności na cierpienie anonimowych w większości bohaterów, którzy cierpieli i ginęli za Polskę. Można by ją nazwać pewnego rodzaju słownikiem biograficznym osób, które zginęły za Ojczyznę w piecach krematoryjnych lub za drutami obozu, postaci o których zapomnieliśmy, których nazwisk już nie znamy, a winniśmy pamiętać. Autor ukazuje się doskonałym obserwatorem i mistrzem w ich charakteryzowaniu. W tenże sposób opisał z podaniem danych biograficznych ponad 60 osób polskiego lub obcego pochodzenia, około 30 postaci anonimowych z podaniem tylko ich imienia lub zawodu, sylwetek zarówno pozytywnych jak i negatywnych, i 10 grup narodowościowych, społecznych czy wyznaniowych.

Ujmuje nas za serce opisana w ten sposób postawa starego Cholewy, który poszedł do obozu za swego syna, postać dzielnego chorążego Stroki, odważna akcja księży Stengera i Lelois, którzy skrycie przemycali Komunię świętą do obozu, ofiarność ciągle chętnych do niesienia pomocy Andrzeja Czajki, Kłaka, Ryśka Błachiewicza, budzi współczucie tragizm niewierzącego rabina Bahra.

Obok powyższych imiennych, wprost kapitalne są charakterystyki osób anonimowych, których nazwisk autor nie podał, bo ich prawdopodobnie nie znał, ale kilku pociągnięciami pióra plastycznie je naskicował. Staje więc przed oczyma czytelnika postać 60-letniego stróża fabrycznego, który za wywieszenie polskiego sztandaru w dniu 3 maja dostał się do Buchenwaldu, sylwetka ciągle głodnego sierżanta, pełnego powagi wójta spod Limanowej czy listonosza z Tarnowa, pogardzanego i ciągle bitego smolarza, pełna godności postać Greczynki z domu publicznego; wzrusza nas dalej postać nerwowego chłopca, który raz po raz zrywał się w nocy do apelu, aż jeden z więźniów zastąpił mu matkę, osoba anonimowego Polaka, przy którym nawet przy wyjściu z obozu nie było nikogo, „kto by mu pomógł umrzeć”, czy wreszcie sylwetka murzyńskiego oficera amerykańskiego recytującego strofy *Pana Tadeusza*. — Oto szereg postaci, o których poza danymi ks. Langmana w ogromnej większości już nikt nic nie wie, nikt się o nich nie upomina; one jednak cierpiały, oddały swe życie za Ojczyznę i mają prawo do tego, by żyć w naszej pamięci.

Obok pojedynczych, *Oczekiwanie* zawiera kilka charakterystyk grupowych. Stają więc przed nami dzielni, niepokonani, darzący sympatią Polaków, Norwegowie, pełni godności Holendrzy, słabi fizycznie,

by przetrzymać obóz Francuzi, ciągle ścigani i prześladowani oficerowie Armii Czerwonej, sympatyczni Cyganie, zupełnie nieczuli i obojętni na ludzkie cierpienie Niemcy idący na niedzielną Mszę św. w Stamsried, ujmują za serce grupa Polaków, którzy zaraz po wyjściu z obozu, gwarnie i po staropolsku biorą udział we Mszy św. niedzielnej.

Nasuwa się jednak na koniec jedna wątpliwość, czy książka o tego rodzaju tematyce, opublikowana 28 lat po wojnie, przy tak już bogatej literaturze obozowej ma jeszcze sens i może być aktualna? W odpowiedzi na to pytanie trzeba chyba mocno podkreślić, że każda pozycja o tematyce obozowej jeszcze dziś jest jak najbardziej aktualna, jest spełnieniem powinności względem Ojczyzny, jej historii i naszych pomordowanych Rodaków. Jest to ponadto pamiętnik człowieka, który został duchownym, a niestety niewiele jest książek o tematyce obozowej napisanych przez księży, mimo iż w obozach koncentracyjnych zginęło ich tysiące. Stosunkowo często jeszcze dziś na Zachodzie podnoszą się głosy, że w obozach koncentracyjnych nie było tak źle, że ich okrucieństwo jest wyolbrzymiane i propagandowo rozgłaszane przez Polaków, którzy czynią z siebie bohaterów. Dzieje się to dziś, gdy jeszcze żyją naoczni świadkowie tego męczeństwa, co zaś będzie za 50 czy 100 lat? Czy wolno nam dopuścić do tego, by nam wmówiono, że to wszystko było nieprawdą? Nasuwa się wniosek, że na żyjących jeszcze kacetowcach spoczywa ciężar odpowiedzialności historycznej, obowiązek wykonania testamentu swoich zamordowanych współwięźniów-kolegów, przez utrwalenie na piśmie ich nazwisk, przeżyć i cierpień; będzie to źródłem do naszej martyrologicznej narodowej historii. Nie chodzi tu o walory literackie, ale o przypomnienie tego, cośmy przeżyli. Winniśmy bowiem wiedzieć o wszystkich Polakach, którzy oddali życie za Ojczyznę, a książka ks. Langmana wypełnia to zadanie, bo dla niego „każdy człowiek, który zginął za Ojczyznę wart był wspomnienia”

Ks. Stanisław Longosz